

# Ulewicz, Tadeusz

---

## Jak wspominamy Juliana Krzyżanowskiego?

---

Kwartalnik Historii Nauki i Techniki 47/2, 169-172

---

2002

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej Bazhum, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych tworzonej przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie ze środków specjalnych MNiSW dzięki Wydziałowi Historycznemu Uniwersytetu Warszawskiego.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Tadeusz Ulewicz  
Uniwersytet Jagielloński  
Kraków

## JAK WSPOMINAMY JULIANA KRZYŻANOWSKIEGO?

Zaproszony, przed jakimiś dwoma–trzema tygodniami, serdecznie przyjacielskim telefonem z Warszawy do uczestnictwa we wzruszającym dla polonistów, rocznicowym spotkaniu w dwudziestopięciolecie zgonu prof. Juliana Krzyżanowskiego (zm. 19 maja 1976) – poczułem się siłą faktu kimś w rodzaju powoływanego doraźnie ś w i a d k a . Świadka środowiskowo dziś postronnego, o człowieku oraz uczonym szczególnie mi przedmiotowo bliskim, któremu (choć nigdy nie był formalnie moim nauczycielem) bardzo dużo miałem osobiście w życiu do zawdzięczenia, a z którym powiązały mnie losy uczelniane w niełatwym okresie stalinowskim, tuż powojennym w Krakowie. Jak wiadomo, w j e d d y n y m wtedy u nas czynnym Uniwersytecie polskim, gdzie Krzyżanowski – bodajże od przełomu marca–kwietnia do końca lipca 1945 r. (gdyż przedłużono o miesiąc rok szkolny!) – kierował jednocześnie d w i e m a p o l o n i s t y k a m i , tzn. naszą w UJ oraz działającą razem chwilowo na „wychodźstwie” warszawską. Wyniknęło to stąd, iż jedyny z naszych profesorów-literatów, który przeżył wojnę, Stanisław Pigoń (po zmarłych w obozie lub skutkiem chorób Chrzanowskim, Kołaczkowskim i Kamykowskim oraz po zmarłym w 1943 emerycie Windakiewiczu) uległ ciężkiemu zawałowi serca i z konieczności pozostawał nieczynny do jesieni 1945 r. (a tzw. akademicki rok szkolny zaczynał się wówczas, też wyjątkowo, 1 września).

Nasze więc przy tym zbliżenie się oraz zaskakująco szybkie zaufanie wzajemne i narastająca stąd odruchowo p r z y j a ż ń (*sit venia verbo*, ale pomimo

różnicy wieku trudno mi to inaczej określić!) miały charakter najpierw wyraźnie jeszcze wojenny, ponieważ działo się to na dwa–trzy miesiące przed ostatecznym zdobyciem Berlina i kapitulacją Niemiec! Charakter tak dobrze rozumiały wobec wspólnych nam wówczas doświadczeń ponurych lat 1939–1945 i przy niecałkiem jeszcze przebrzmiałych nadziejach na wolny demokratycznie i n i e z a l e ż n y ustrój Polski po zakończeniu wojny, któregośmy wszyscy od naszych sojuszników anglo-amerykańskich daremnie wówczas oczekiwali. A następnie znów, gdzieś chyba z wiosną r. 1946, szczególnie odmienny: ciekawe posiedzenie naukowe na polonistyce UJ, może nawet pod patronatem Zarządu Głównego Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza (do wybuchu wojny w 1939 we Lwowie), z gorącą na nim dyskusją, gdzie wbrew referentowi-gospodarzowi i częściowo naszemu też środowisku, poparłem stanowczo zdanie prof. Krzyżanowskiego (chodziło bodaj o coś z pogranicza ludowości i staropolszczyzny), co nie pozostało bez wrażenia.

Umocniło się to zbliżenie mimo przeniesienia się Krzyżanowskiego w tymże roku akademickim 1945/46 do Warszawy, kiedy na mnie w Krakowie spadły dodatkowo, poza urządzaniem księgozbioru Katedry (w ilości łącznie co najmniej 35 tysięcy tomów, pomieszanych przy przewożeniu i pozbawionych katalogu) – sprawy administracyjne miejscowego Oddziału Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza, z kolportażem m.in. „Pamiętnika Literackiego”, dość kłopotliwym. A pogłębiło się z kolei na głośnym Zjeździe Naukowym im. Bolesława Prusa w dniach 29 i 30 września r. 1946 w Warszawie, gdy byłem m.in. na improwizowanym poczęstunku u Profesora w domu (co nie było łatwe przy kartkach żywnościowych!) i na znacznie późniejszej sesji Sienkiewiczowskiej w 1966. Tak czy owak jednakże weszło to w zwyczaj dość automatycznie, sam nie wiem jak (choćby na parę zdań, sprawozdawczo) – przy późniejszych niebawem przejazdach do Warszawy raz lub dwa razy do roku, przy czym z pewnością zasadnicze znaczenie miał tu kierunek moich n a u k o w y c h zainteresowań s t a r o p o l s z c z y z n ą , od strony długo jakoś u nas ... nie dostrzeganej. W postaci mianowicie książek *Świadomość słowiańska Jana Kochanowskiego, z zagadnień psychiki polskiego renesansu* (Kraków 1948), atakowanej ideologicznie przez Stefana Żółkiewskiego jako „wysoce szkodliwa”<sup>1</sup>, co sobie odruchowo uznałem za zaszczyt i przy czym mnie ostrzegał prof. Pigoń, oraz w habilitacyjnej pt. *Sarmacja, studium z problematyki słowiańskiej XV i XVI w.* (Kraków 1950, też nakł. UJ), będącej zaskoczeniem dla kół IBLowskich, gdyż wyjaśniającej pochodzenie nazwy europejską tradycją m e d i e w i s t y c z n ą pojęcia, utrzymującą się w kartografii nieprzerwanie od antyku.

Ciąg dalszy był już raczej konsekwencją ówczesnego stanu rzeczy. Ja recenzowałem drobne prace Krzyżanowskiego w r. 1950, a Profesor, spierający się ostro z urzędowymi marksistami na przykrym Zjeździe w 1951, był niebawem jedynym polonistą, który na reprezentacyjnym, arcyposłusznym ukierunkowanym

ideologicznie makrokongresie renesansowym w Warszawie od 25 do 30 października 1953 r. (pod dyrekcją Stanisława Lorentza) – w swoim obszernym, a mocno niezależnym referacie o *Prozie polskiej XVI wieku* aż dwukrotnie powoływał się na moje dociekania. Pomimo że trzymałem się z dala od kongresu, mając przy tym za sobą p u b l i c z n e niedawno skrytykowanie aż trzech ważnych tam referatów edyskutowywanych roboczo i asekuracyjnie (na wszelki wypadek?) o kilka miesięcy wcześniej<sup>2</sup>.

I jeszcze dwie sprawy powinienem tutaj uczciwie przypomnieć. Najpierw więc to, że jeśli w okresie stalinowskim mogłem jakoś p r z e t r w a ć na polonistyce UJ – było to nie tylko skutkiem solidarności i poparcia starej kadry profesorskiej w Krakowie, lecz jednocześnie mocnym i stanowczo chyba ważniejszym wówczas dowodem wpływów Juliana Krzyżanowskiego w stolicy. Nigdy zresztą wtedy formalnie nikomu za to nie podziękowałem, gdyż byłem wytrzymały, uparty i mogłem pracować fizycznie (a na pracę naukową i tak bym sobie wykroił ze dwie–trzy godziny na dobę). Co nie zmienia faktu, że nigdy im tego – dopóki żyję – nie zapomnę!

Na koniec wreszcie ostatnia już uwaga, jaka się tutaj doraźnie nasuwa, po trosze bodaj w duchu właśnie Krzyżanowskiego. Wiadomo, że dzieje badań i studiów naukowych to nie tylko oczywisty rozwój dociekań szczegółowych, narastających pojęciowo i bibliograficznie (zawsze się przecież wychodzi od p o p r z e d n i k ó w , pozytywnie lub krytycznie) – ale również sprawa temperamentu oraz indywidualności, warunków i postawy osobistej badacza. I przypomina mi się dość nieodparcie fakt jeden. To Julian Krzyżanowski stawiał niegdyś, pod wrażeniem śmierci Piłsudskiego, wniosek o rozbudowanie nazwy Uniwersytetu Warszawskiego nazwiskiem Józefa Piłsudskiego! Nazwy, która w ponurym okresie stalinowskim nie mogła się oczywiście utrzymać, z czym zresztą sam nawet wnioskodawca – broniący w latach powojennych szczególnie ważnych spraw humanistycznych (nie tylko własnego środowiska) – musiał się *volens nolens* pogodzić. Na szczęście warunki się jednak odwróciły i rzecz należy wreszcie do przebrzmiałej, z najwyższym trudem, przeszłości. – A swoją drogą ciekaw jestem, jakby dzisiaj (w dyskusji na podobny temat) zachował się tenże właśnie, n a j w i ę k s z y od zgonu Aleksandra Brücknera badacz literatury polskiej, komparatysta, zarazem ludoznawca i kulturoznawca... Nie zdziwiłbym się, gdyby zaproponował nadanie uczelni nazwy im. Władysława Sikorskiego.

### Przypisy

<sup>1</sup> Był to wynik ostrej wymiany listów między Pigioniem i Żółkiewskim (stąd cytaty), o ile mi wiadomo, zachowanych. Także jeden z polonistów warszawskich owego kręgu wspominał mi, że przygotowuje się tam recenzja mojej *Świadomości słowiańskiej Kochanowskiego*, na co rzekłem: dobrze, ale „jeśli recenzja będzie nielojalna, to autorowi

ściągnę spodnie przez głowę”, oczywiście w druku za granicą. Najzabawniejsze, że recenzja owa... się nie ukazała.

<sup>2</sup> Teksty ich były o kilka miesięcy wcześniej rozsyłane szeroko w maszynopisach (które się chyba zachowały), więc dałoby się sprawdzić. A byłaby ładna zabawka, gdyby im się ktoś przypatrzył, gdyż w ogromnym *Odrodzeniu w Polsce* (wydawany kilka lat po śmierci Stalina) pewni autorowie w y k r e ś l a l i , tuż przed drukiem, swoje cytaty z Lenina, Stalina, Marksa itd. – ku radości korektorek PIW-u, opowiadających o tym szeroko i z nazwiskami. Pomijam tu nazwiska, bo są to ludzie nieżyjący, ale jest jeszcze w Warszawie parę osób, które to pamiętają.